

Ile centrów Poznania?

Przez wiele lat główni architekci miejscy wykazywali pożyteczną wstrze- międlność wobec planów zabudowy zniszczonego podczas ubiegłej wojny śródmieścia Poznania. Stwierdzenie takie może wydać się dla wielu mieszkańców grodu Przemysła paradoksalne, jako iż sam naturalny odruch po wszelkich kataklizmach dziejowych dyktuje likwidację powstałych szkód w zakresie jak najpełniejszym i w najkrótszym czasie. Jeśli jednak u przytomni sobie, że wokół przeznaczenia i wyglądu wielkomiejskiego centrum toczyły się u nas najgorętsze spory, że właśnie w tych sprawach najczęściej było nieporozumienie i wynikających stąd błędów, nie powinno nikogo dziwić stanowisko władz miejskich. Z czasem sytuacja się skomplikowała o tyle, że nastąpił znaczny rozwój przestrzenny i ludnościowy Poznania i pewne zmiany w centralnym układzie komunikacyjnym. Dodajmy wreszcie, że każda koncepcja zabudowy wymagała bolesnych w naszych warunkach wyburzeń.

Powstało też pytanie, czy przedwojenny ośrodek handlowy (w obrębie) pl. Wołności oraz ulic Lampego, Czerwonej Armii i al. Marcinkowskiego może w dalszym ciągu spełniać swą dawną rolę jako centrum miasta, czy należy mu wyznaczyć raczej funkcję jednego z kilku centrów handlowo-usługowych.

Ale rozwiązanie nawet tak złożonego problemu nie sposób odwlekać w nieskończoność. Zresztą w ostatnim czasie powstały sprzyjające warunki, aby zająć się nim w sposób realny i odpowiedzialny. Rozstrzygnięcie piątego z kolei konkursu na zabudowę Pl. Defilad w Warszawie ujawniło stabilizację poglądów na rolę centrum, wykazało ogólny postęp naszej myśli twórczej w zakresie urbanistyki i architektury, dostarczyło szereg wniosków do realizacji tak poważnych zamierzeń. Nie chcemy w żadnym wypadku naśladować koncepcji stołecznych w sposób mechaniczny — jak to było w ubiegłych latach; ale podobieństwo zagadnienia może nam pomóc w podjęciu decyzji. Pragniemy wykorzystać przede wszystkim jedno doświadczenie konkursu warszawskiego: osiągnięcie opinii społeczeństwa, która w stolicy wykazała pełną dojrzałość.

A zatem stawiamy przed mieszkańcami Poznania pytanie: jak sobie wyobrażamy rolę i kształt śródmieścia?

Wprawdzie poznaniacy nie mają do wyboru gotowych projektów — jak to było w stolicy. Podstawą do rozważań mogą im służyć prace, podjęte ostatnio przez urbanistów i architektów na polecenie głównego architekta miasta w porozumieniu z inwestorami.

Pracownia „Miastoprojektu” prowadzona przez profesora Jana Cieślińskiego, a konkretnie młody inżynier architekt Jerzy Liśniewicz — przygotowuje projekt wstępny zabudowy odcinka ul. Czerwonej Armii między ulicami Kantaka i Ratajczaka. Mają stanąć tutaj dwa bloki o łącznej kubaturze 36 tysięcy m³. Jeden z nich ma być domem handlowo-biurowym dla PSS, przy czym trzy najniższe kondygnacje przeznacza się na wielobranżowy sklep z galanterią ceramiczną i tworzyw sztucznych, konfekcją damską, męską i dziecięcą, poradnią krawiecką i gabinetem kosmetycznym. Cztery wyższe kondygnacje zajmą lokale biurowe.

Drugi blok będzie posiadał dwie kondygnacje handlowe (salony: samochodowy, meblowy i kosmetyczny, bar kawowy, sklepy jubilerskie i z porcelaną) i cztery mieszkalne (52 mieszkania).

Projekt inż. Liśniewicza przewiduje ciągłą zabudowę całego odcinka, a więc nie odstępuje od tradycji, natomiast wprowadza architekturę zgodną z nowoczesnymi kierunkami. Realizacja zamierzenia wymagać będzie wyburzenia (w etapach) ogółem 104 izb mieszkalnych. Cały blok ma być cofnięty tak, że będzie można poszerzyć ulicę do 36 m.

W sumie — koncepcja atrakcyjna i realna. Czy jednak jest zgodna z charakterem centrum?

Jeśli przyjąć, że ulica Czerwonej Armii wraz z sąsiednimi ma pozostać głównym ośrodkiem handlowo-usługowym dla całego Poznania, to wypadnie ocenić krytycz-

Przeczytaj i nadeślij swoje uwagi

nie zarówno układ projektowanego bloku jak i proporcje między sklepami i mieszkaniami. Stanowczo ilość sklepów jest za małą. Trzeba by wybudować kilka wielokondygnacyjnych bloków o charakterze wyłącznie handlowo-usługowym. Tutaj przede wszystkim mogłyby stanąć oba domy towarowe na które Ministerstwo Handlu Wewnętrznego przyznało już kredyty. Tu można by zlokalizować pawilon meblowy z nadbudową na biura (inwestor ma 8 milionów zł na ten cel), tu byłoby miejsce na Centralny Dom Dziecka itp. obiekty o mniejszym lub większym przeznaczeniu handlowym. Pozostałe wolne parcele w śródmieściu nie wystarczą przecież dla szerokiego programu budownictwa handlowo-usługowego jednego centrum tak dużego miasta.

Zanim więc przyjmie się te czy inne plany budowy, trzeba zdecydować się: czy chcemy kupować w jednym centrum, gdzie będzie skoncentrowana największa ilość lokali handlowych (co ma swoje plusy w łatwości wyboru towaru itp.), czy też wolimy dokonywać zakupów w różnych ośrodkach.

Stworzenie jednego „city” nie będzie rzeczą łatwą. Nie wystarczy bowiem postawić kilkanaście wysokościowców na wolnych parcelach. Trzeba będzie w konsekwencji rozluźnić obecną zwartą zabudowę obrzeżną, likwidować oficyny... Oznacza to etapowe burzenie szeregu kamienic mieszkalnych. „City” musi bowiem posiadać odpowiednią przelotowość dla ruchu pieszego, a obok wielkich magazynów również mniejsze dla

określonych branż, kina i lokale dla usług kulturalnych. To jest jedna alternatywa.

Drugą byłaby budowa kilku ośrodków śródmiejskich. Jeden z nich mógłby powstać na Łazarzu (po skorygowaniu uprzednio wydanych lokalizacji na budownictwo mieszkaniowe), na Grunwaldzie (obok osiedla przy ul. Świerczewskiego i na Ratajach. Oczywiście ich zakres musiałby przekraczać potrzeby określonej dzielnicy.)

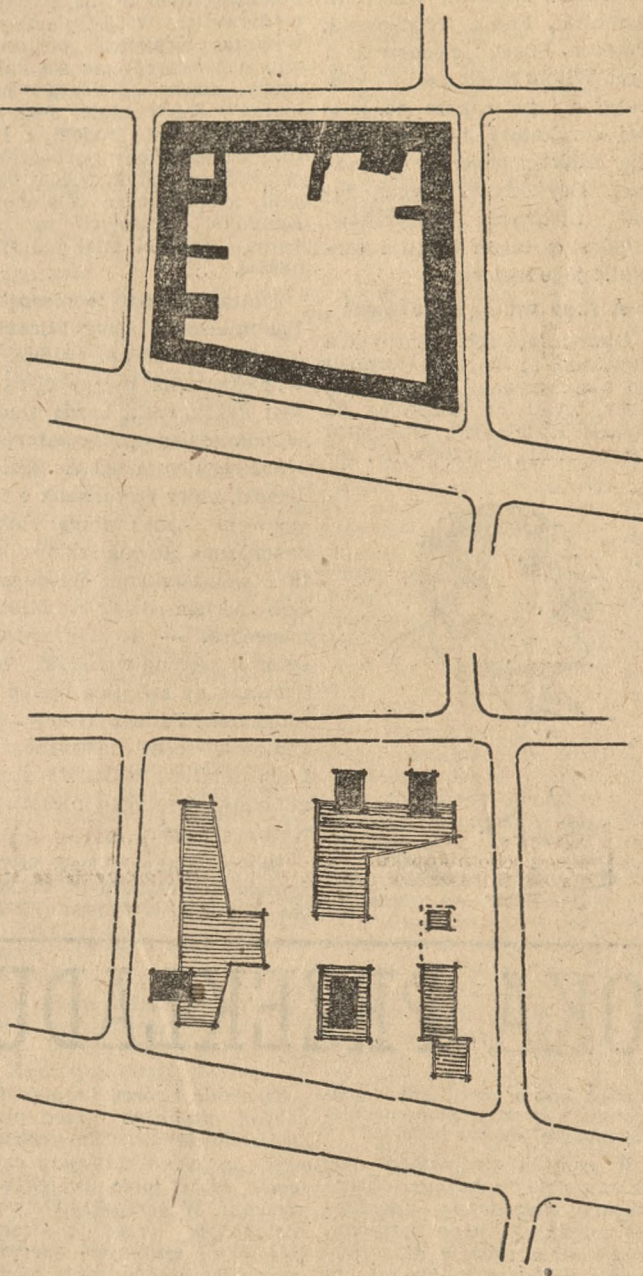
Kilku centrom sprzyjałaby ciekawa koncepcja urbanistyczna, opracowana na zlecenie Głównego Architekta miasta przez profesora Zarembe. Przewiduje ona przekształcenie ul. Marchlewskiego w główną arterię komunikacyjną Poznania. Obecny odcinek tej trasy otrzymałby przedłużenie w kierunku zachodnim przez włączenie poszerzonej ulicy Towarowej, mostu Uniwersyteckiego. Inne odgałęzienie byłoby skierowane od pl. Drzewskiego (przy Dworcu Autobusowym) na ul. Magazynową (Wujka) i dalej, przez wiadukt nad torami — na Łazarz.

Realizacja tej koncepcji rozwiązałaby problem komunikacji: można by łatwo podjechać do wszystkich trzech wymienionych centrów i przeprowadzać zakupy. Wtedy również można by realizować według projektu inż. Liśniewicza zabudowę mieszkalno-handlową ul. Czerwonej Armii — jako nie spełniającą już funkcji jednego „city”.

Nad tymi problemami będą radzić fachowcy. Niezależnie od wyników ich narad głos opinii społeczeństwa nie traci ani o cal na wartości. Na pew-

no pomoże w najlepszym rozwiązaniu tego skomplikowanego zagadnienia, w interesie wszystkich — zarówno na dziś jak i w najbliższej przyszłości.

Józef MODRZEJEWSKI



Tak wyglądała zabudowa części śródmieścia między ulicami Kantaka, 27 Grudnia, Ratajczaka i Armii Czerwonej — przed wojną. Uderza duże zagęszczenie budynków (rysunek u góry).

Niżej — plan zabudowy tego samego odcinka śródmieścia według projektu inż. arch. Liśniewicza, omawianego w artykule. Charakter zabudowy — zwarty, ul. Armii Czerwonej poszerzona. Obok budynków usługowych — mieszkania.

U dołu — inna propozycja do projektu, inż. arch. Jarosza i Wellen-gera. Zamiast zwartej zabudowy — zabudowa luźna, przewidująca budynki o charakterze wyłącznie handlowo-usługowym (domy towarowe, dom dziecka, duże kino).

We wszystkich szkicach — ul. Armii Czerwonej u dołu rysunku.

„Granada maja...” * ogrody Generalifu * wśród Cyganów * Walencja * wielka fiesta * żegna nas Cerber.

W cieniu Alpuhary i w słońcu Barcelony

Jedziemy torpedą (taką jaką kursuje między Gdynią a Warszawą tylko szerszą) w stronę Granady. Po drodze olbrzymi kanion silnie erozującej rzeki Tajo (czyt. taho). Taki obraz znamy dotychczas jedynie z filmu przedstawiającego kanion rzeki Colorado w Ameryce. Nad takim Tajo zbudowane jest na dwóch ścianach urwiska wysokości kilku kamienic słynne miasteczko Ronda. Tu znajduje się jeszcze drewniana Plaza de Toros, najstarsza na Półwyspie Iberyjskim (1784). Zo-

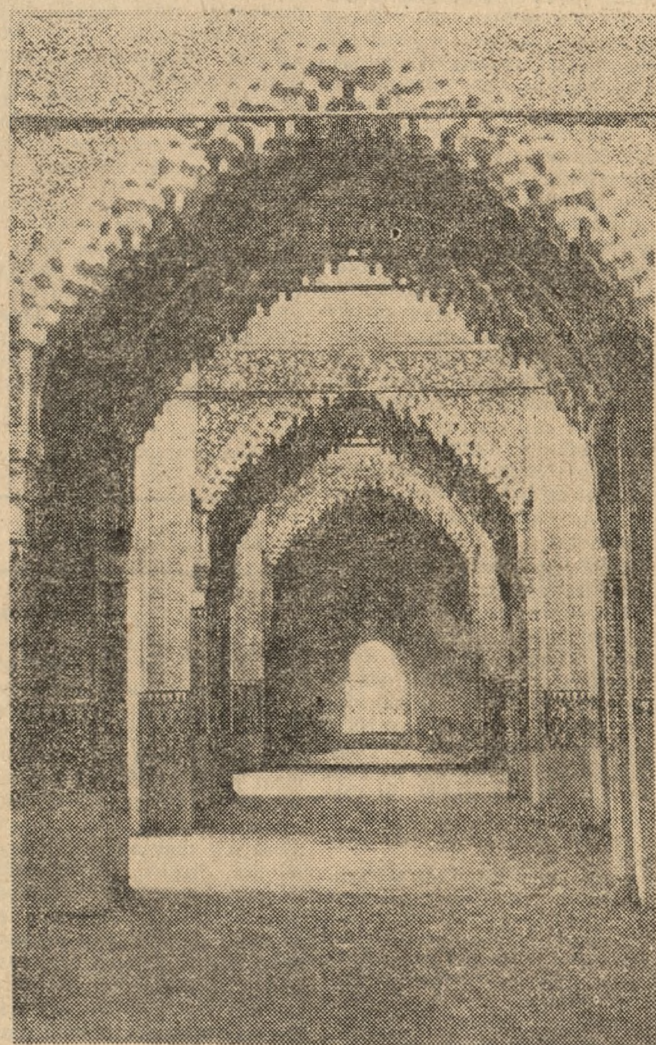
Już wiele stacji przed Granadą recytujemy za Majakowskim: „Granada, Granada ma ja!” To tu, w górach Alpuhary (czyt. Alpuhary) Arabowie potrafili bronić się 250 lat dłużej, aniżeli na reszcie półwyspu. Ich forteca w Grana-

dzie upadła dokładnie w roku odkrycia Ameryki przez Kolumba. Potomkowie części załogi, która wyszła podziemnymi gankami, żyją do dziś w górach.

Sama Granada — to typowe miasto andaluzyjskie o prze-ważnie wąskich ulicach. Tak jak w innych miastach, stoją na skrzyżowaniach ważniejszych arterii białe ubrani policjanci w białych hełmach, z typowymi wąsikami. Obok nich parasole, ustawione zawsze w kierunku słońca.

Podążamy na Alcazabę. Przed nami — niesłychanie wa-równa twierdza, zbudowana na urwisku skalnym oraz pa-lac mauretański o niezrównanym przepychu: sławna Al-hambra (po arabsku czerwony dom). Atabowie do dziś dnia opłakują stratę Granady (zwa-nej u nas za Mickiewiczem Gre-nadą): co piątek wspominają ją na całym świecie w swych modlitwach.

O ogrodach Generalifu napisa-no wiele książek, nakręcono długometrażowe filmy. Ja



Fragment słynnej Alhambry w Grenadzie. Poziome pręty — to umocnienia konstrukcyjne

(Ciąg dalszy na str. 3)

O Zielonym Baloniku wspomnienia sprzed 55 laty

Bardzo przyjemnie odnowio no krakowską „Jamę Michalikową”. Tę samą, o której śpiewał Boy w 1910 roku.

Miał se Michalik cukierki, Kupczył w niej trzeźwo i wiernie. Kawusie, ciastka i pączki Zapłata z rączki do rączki.

Każdy stan swoje ma smutki Więc też w czas niezmierne krótki Lokal znany z trzeźwości Dziwnych sprowadził czart gości. Malaria lokal obsiadła Izby w nim pła i jadła.

Bo nie literaci krakowscy, lecz artyści malarze (słowa „plastycy” nie używano) dali początek Zielonemu Balonikowi, zbierając się najpierw w małej kawiarence na Kleparzu, a gdy im było za ciasno — w cukierni Michalika przy ul. Floriańskiej. Było to bezmała 55 lat temu. Dziś Zielony Balonik wszedł do historii literatury polskiej, jako wybuch niezwykle witalnego humoru, satyry i dowcipu. Przewietrzył on atmosferę krakowską pełną dostojności, a razem świętoszkostwa, tego Krakowa, w którym następował już zmierzch władztwa konserwatystów na czele z „papieżem” Stanisławem hrabią Tarnowskim, kilkakrotnie rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezesem Akademii Umiejętności.

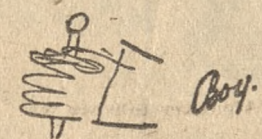
Budził się Kraków do nowego życia, które zaczęli tworzyć w teatrze Pawlikowski, Kotarbiński, a później Solski. „Malaria” wyzwała się spod ciężkiej ręki Jana

Matejki, z otoczenia martwych gipsowych figur i draperii. Nie tylko zaczęto przebąkać o „plenerze”, ale i pracować na Błoniach krakowskich, dokąd wyprawiał swoje „Gąsiątka” malarzki świetny Jan Stanisławski, o którym mówiono, że w nim wyraża się sztuka „w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do wielkości ciała”. (Stanisławski był tegiej tuszy, a jego obrazki — niemal miniaturowe).

Przy stoliku malarskim u Michalika zasiadali wtedy K. Sichulski, Frycz, Dunikowski, Pautsch, Puget, Zelechowski, i inni. Witold Noskowski — kompozytor i piosenkarz do każdej karykatury dorabiał melodię. Literaci włączyli się później. Boy-Zeleński, miał na dach Zielonemu Balonikowi rozgłos w całym kraju i utrwalili jego historię.

A skąd wzięła się nazwa?

Opowiadają sobie starzy krakowianie, że któregoś poranka po nieprzespanej bo przepiętej nocy, wyszli od Michalika na Rynek Kisielski, Stanisław Sierosławski, Kuczborski i za-



kupili dla zabawy trzy zielone baloniki. Przypiąwszy je do guzików marynarki spacerowali linią A-B, gromadząc uliczną gawiedź koło siebie. Ponieważ było to już wielkim wydarzeniem w 50-tysięcznym wówczas Krakowie, postanowili dać tworzącemu się kabaretowi nazwę „Zielonego Balonika”. Kiedy mnie, 8-klasistę patron mój rodem z Litwy, Józef Albin Herbaczewski, trochę mistyk, więcej dziwak, a sztabowiec „Zielonego Balonika”, przemycił raz na seans — kabaret miał już swą nazwę.

Dostać się na te niespełna 100 miejsc do Jamy Michalikowej było bardzo trudno. Z wyiekami na twarzy chwytaliśmy każdy ruch, każde słowo wypowiedziane przez autorów. Konferansjerem był A. Kisielski, który dawał znak o rozpoczęciu seansu długą łaską, zakończoną zieloną szklaną kulą i wstążeczkami. Włodarczył tym berłem dzielnie. Młody mecenasik — T. Zakrzewski śpiewał żrące wierszyki stylizowane na swojskie melodie, młodzieńki Juliusz Osterwa parodiował sceny teatralne, a Leon Schiller, 8-klasista gimnazjalny, wyciągał nieśmiało wesołe piosenki.

Balonik panował nad całym życiem intelektualnym Krakowa. Nie było wydarzenia, któ-



re nie znalazłoby odbicia w Jamie Michalikowej. Nie szczeniło żadnych powag, nie uznawano żadnych autorytetów. Przeciwnie — im kto zajmował wyższe stanowisko, tym częściej i silniej spadały nań ciosy. Nie szczędzono również siebie. Zgryźliwymi wystąpieniami odznaczał się Adolf Neuwert-Nowaczyński. Za atakował raz Jana Augusta Kisielskiego, rozpoczynając orację od słów: „Janie, słusznie zwany Augustem, Kisielski!” była to aluzja do popularnej piosenki „O mein lieber Augustin”. Kisielski wysłuchał spokojnie a potem odpowiedział: „Adolfie Neuwert-Nowaczyński!”. Trzeba dodać, że program seansów nie był z góry przygotowywany. Wiedziało kto będzie mówił, ale nigdy — co powie. Każdy seans był nową, niepowtarzalną premią.

Na plantach odsłonięto z uroczystymi przemowami pomnik Jagielly i Jadwigi, który do dziś stoi. Na najbliższym seansie w Baloniku śpiewano chórem: „Jadwisia, daj pysia, bo to święto dzisiaj”.

Zmarł Jan Stanisławski. W Jamie Michalikowej urządzono stypę pogrzebową ku jego czci. I znów śpiewano na smętną nutę: „Janie, Janie cożes zrobić, kto nam Wawel będzie zdobył?”. Stanisławski miał bowiem być zaproszony do odnowienia Wawelu.

Jan Styka wystąpił z projektem urządzenia panoramy w Barbakanie zwanym popularnie „Rondlem”. „Ledwie się projekt powdł już go Balonik sławił” tymi oto słowy Boy’a:

Zobaczył pan Styka Jak raz mały kondel Podniósł zadnią łapę I spaskudził Rondel Oj dana!

I przyszła Mistrzowi Do głowy myśl słodka A gdyby to samo zrobić ode środka?

Oj, dana!

I projekt Styki upadł.

Ten i ów, obrażał się, ale po pewnym czasie zasiadał do stołu wspólnego i przy kieliszku absyntu (kto dziś to pije?) za pominął o doznanej urazie.

Tak Zielony Balonik bawił przed 55 laty Kraków piosenką, z której „poszły dymy po całej literaturze”.

Fr. HRYNIEWICZ

deformacja. To na jej język najchętniej się tłumaczy doświadczenia i szacowne pozycje z własnego repertuaru kultury.

Jeszcze wyraźniej przekładowy charakter działalności występuje na terenie teatru lalek. Scenę tę pojmujemy się u nas nader często jako zabawę i zabieg dydaktyczny wyłącznie dla użytku dziecka. Przedstawienia krakowskiej „Grzeszki” na przykład „Orfeusz w piekle” Offenbacha czy „Igraszki z diabłem” Drdy, lódka „Balladyna” czy Mollera, poznańskie „Bajki” Mickiewicza otworzyły nam perspektywę przekładu wielu głośnych pozycji światowego repertuaru na język lalek i jej ciekawych możliwości.

Inaczej rodzaj szlachetnego przekładu na nowy język sztuki otwiera przed nami pantomima. Wzięta amerykańskiego „Teatru tańca” — jak nazywał swój występujący przed dwu laty w Poznaniu zespół Jose-Limon, dostarcza w tej materii niezwykle ciekawych obserwacji. Wystarczy wspomnieć „Pawane Maura” do muzyki Henryka Purcella. Pantomimiczno-taneczna interpretacja „Otelii” była wysoce próby teatrem. Ekspozycja przewrotnego motywu akcji, wędrowka chustki Desdemony czy



PAMIĘTNIKI RÓMMLA

Wspomnienia Juliusza Rómmela* dotyczą pamiętnych dni wrześniowych. Celem autora było podanie rzeczywistych faktów. Dlatego na kartach książki znajduje odbicie jaskrawy brak kompetencji i charakteru niektórych ludzi na wyższych szczeblach dowodzenia w armii polskiej roku 1939. Autor opisuje kampanię, która od początku była walką bez nadziei na zwycięstwo, obroną straconych pozycji, wypełnieniem obowiązku żołnierskiego.

„...armia nasza nie zmobilizowana, nie skoncentrowana, jakby umyślnie podstawiona pod uderzenie wroga, zaskoczona

została przez kilkakrotnie silniejszego nieprzyjaciela. Zie uzbójna, fatalnie dowodzona, była się jednak daleko lepiej niż nasi potężni sojusznicy w latach 1940 i 1941, mający więcej czasu na przygotowanie do wojny” — pisze autor.

Materiały wzięte z autopsji poszerzone zostały dokumentami z kampanii wrześniowej.

Książka będzie z pewnością pochłaniana chętnie przez czytelników.

U. G.

*) Juliusz Rómmel „Za honor i ojczyznę”. Wspomnienia dowódcy armii Łódź i Warszawa. Wyd. „Iskry”. Cena 50 zł.

OPOWIADANIA w „CZWARTYM WYMIARZE”

Czy chcecie z Lindberghiem (tak, tym sławnym) przelecieć z Nowego Jorku do Paryża? Czy macie ochotę zgłębić tajemnice prób z rakietami? A może wolicie poszybować na zwariowaną planetę, na której człowiek wygląda jak dwugłowy potwór i której powierzchnię dziurawią podziemne, tak — podziemne — ptaki?

Możecie uczynić to tanim kosztem 18 złotych. Taka jest bowiem cena zbioru kapitałnych opowiadań i nowel, tłumaczonych z angielskiego przez A. Liebfelda, J. Stawińskiego i K. Zarzeckiego.*

Opowiadania te, a zwłaszcza ich część trzecia pt. „Jutro” — czyta się jednym tchem. Pisane są bowiem często tak jak powieść kryminalna: dopiero pod sam koniec wyjaśnia się zagadka tajemniczego zjawiska. Czyta się je poza tym z uśmiechem. Znajdziemy w nich bowiem humor, ironię, satyrę wreszcie („Moje potrójne ja” Williama Tenna, „Dumny robot” L. Podgetta, „Zwariowana

planeta” Frederica Browna). Nie ma w nich natomiast tego, czego się często z góry obawiamy: mianowicie nadmiaru popularizujących wywodów. Nauka jest zresztą jedynie punktem wyjścia do fantastycznej, fikcyjnej fabuły, konstruowanej z dużą pomysłowością i dobrane wypointowanej. Nierzadko przenosi nas ona w towarzysztwo istot wymiarów, przybitych z innych światów (na przykład „Wewnątrz piramidy” Witta Millera czy wspomniane już „Wyzwolenie ziemi”).

„W stronę czwartego wymiaru” jest próbą szeroko popularnej na Zachodzie dziedziny literatury, zwanej „science fiction” (powieść naukowa). A ponieważ sprawy astronautyki stoją dziś w centrum uwagi każdego interesującego się współczesnością człowieka, książka z pewnością znajdzie czytelnika, zaspokajając gołd wiedzy, a także dając wiele satysfakcji czysto czytelniczej.

J. B.

*) „W stronę czwartego wymiaru”. Wydawnictwo Wiedza Powszechna, 1958, stron 384.

WSTĘP DO CYBERNETYKI

W tych dniach ukazała się na półkach księgarskich interesująca publikacja o rewelacyjnej, a mało u nas znanej nowej dziedzinie nauki — jaką jest cybernetyka.

Słowo to stało się ostatnio bardzo modne. Co się kryje za tą magiczną nazwą, odkrywamy w swej liczącej 450 stron książce znakomity francuski popularyzator nauk przyrodniczych — Pierre de Latil. Cybernetyka, to nauka stojąca na granicach przyrody, techniki i filozofii. Francuski uczynek mówi o tych zawiłych rzeczach z rzadko spotykaną jasnością. Daje on ogólne spojrzenie na cybernetykę — naukę, która stanowiąc syntezę wiedzy ludz-

kiej w wielu dziedzinach, otwiera przed nami bogate perspektywy rozwoju techniczno-społecznego.

Na Zachodzie „Sztuczne myślenie” jest prawdziwym bestsellerem. We Francji książka ta doczekała się 11 wydań. Tekst polskiego wydania został uzupełniony aktualnymi danymi nadesłanymi przez autora do Państwowych Wydawnictw Technicznych, którym należą się słowa uznania zarówno za inicjatywę zapoznania polskiego czytelnika z cybernetyką, jak i za staranne wydanie samej książki. Wstęp do niej napisał prof. dr Stefan Manczarski, on też brał udział w tłumaczeniu tego dzieła.

Margines literacki

EPOKA PRZEKŁADU

Czasu rozkwitu sekcji twórczych w Związku Literatów przypominam sobie rozczulającą żalostę kolegi Zdzisia, pilnego o wiek niedzielną sekcję pisarskiej, że nie wypadło mu żyć i działać na przykład w starożytnej Grecji. Nie wyrażone jasno pragnienie ujawniało się jednak jak obsesja w każdej większej wypowiedzi tragicznej ofiary przymusu szkolnego — tak bowiem nazywaliśmy pokątnie pocziuci. Człowiek ów, niemłody już, ale zżerany młodzieńczym ogniem ambicji literackich, miłością przez muzy, niestety, nieodczuwając, wyciągnął o sobliwy wniosek z poznania zarysu antycznego piśmiennictwa. W Grecji, cokolwiek by napisał, mógł przeżyć do historii. Sam fakt władania rylcem czy pędzlem mógł utrwać w dziejach jego imię, pod warunkiem, że przetrwał papyrus czy skorupkę. Ale to stanowiłoby okoliczność od twórcy niezależną, zaś kolega Zdzisio zwykł z pełnym sentymentem optymizmem ufać swej gwiazdce.

Dziś jest inaczej. Liczebność konkurencji niweczy szanse na efektywne trwanie nie tylko kolegi Zdzisia. Oprócz kohorty ludzi, którzy zawodowo uprawiają pisanie, ciąży na nas olbrzymie zaplecze najcenniejszej klasyki i wszelkiego rodzaju tradycji. Sentencja Ernesta Dimmetta: „Życie jest za krótkie, by czytać dobre książki. Należy czytać najlepsze” — znalazła swe pełne zastosowanie.

Pisarz współczesny nie ma szansy Greka, choć upowszechnienie twórczości towarzyszy wzrostowi technicznego zaplecza i ogromny rozwój techniki wydawniczej. A już zgola tragiczna bywa sytuacja współczesnego grafomana. Hodo- wanie nieszkodliwych mani napotyka dziś na trudności, które zaczęły maniaki wpędzić mogą w

stokroć gorsze psychiczne wynaturzenia niż królicze płodzenie niepotrzebnych nikomu piśmideł.

W ramach ewoluującego poprzez dzieje ruchu cen, obserwujemy niezmienną, uporczywą zwykłą jednego artykułu. Nieustannie drożeje czas. Sytuacja przedstawia się tak, że lektura, a w szczególności namysł, kontemplacja nad przeczytanym, stają się dla większości sięgających po narkotyk książki nieludzkim luksusem. Stąd podstawowym kanonem przyzwoitości autorskiej dzisiejszych czasów jest zwięzłość. Niestety w praktyce lubimy grzeszyć przeciwko temu przykazaniu.

„Grube książki należałoby zostawić uczonemu — pisał Anatol France — czyż najprzejmniejsze opowiadania nie na leżą do najkrótszych? Trzeba być lekkim, by móc lecieć przez stulecia. Autor „Wyspy pingwinów” godzi się z poglądem, iż na zwięzłość — między innymi — polega dobre wychowanie pisarza.

Leszek Prorok

Kłopoty nasze są zatem nader odległe od zmartwień kolegi Zdzisia. Nie uróca stonunki antyku, ilość piszących będzie zapewne rosła, zaś czas — nim dojdzie do powszechnego ograniczenia godzin pracy — może jeszcze bardziej podrożeć. Powinniśmy się starać o maksymalną powściągliwość i zwięzłość dla wykazania dobrych manier. Swoisty maltuzjanizm twórczy, regulacja artystycznego potomstwa, staje się programem zdrowego rozsądku. Szczupła ilościowo twórczość najmłodszego francuskiego laureata Nobla, Alberta Camusa, stanowi pouczający znak czasu dla wszystkich piszących.

Swobodę twórcy kępuje to, co już napisano przed nim. Determinują ją także okoliczności, w jakich dzisiejszy czytelnik może sobie na lekturę pozwolić. W perspektywie wyrastających przed pisarzem ścieżek i ograniczeń, specjalnego znaczenia na polu twórczości artystycznej nabiera przekład.

Nie mam tu na myśli ścisłego znaczenia wyrazu, określającego tłumaczenie z języka na język. Przekład w sztuce rozumieć bardzo szeroko. W wielu utworach oryginalnych znajdujemy rozbudowane elementy przekładu. Ileż to razy przekłada się stare, odświeżone jedynie problemy na język wyrażenia i stosunków swego czasu. Każda miłość odnajduje swe źródło w uczuciu Izoldy i Tristana. Ileż nowoczesnych buntów oscyluje między poświęceniem Prometeusza a wybrykiem Herostratesa. Jest z tym tak, jak ze słowotwórstwem. Podobno na przestrzeni wielu wieków wymyślono naprawdę stwarzając z niczego jeden tylko wyraz: gaz. Reszta to powtórzenia i przetworzenia. W pewnym zatem sensie każdy twórca jest tłumaczem, jednak epoka nasza wydaje mi się okresem specjalnego uprzywilejowania przekładu.

Na oczach naszych rozwija tego typu działalność szereg odmian teatru. Przekłada się dzisiaj na mowę obecną pojęć i potrzeb cały szereg dawnych motywów, tematów, bądź całych dzieł. Zamknięty jak na razie przez Giraudoux szereg trzydziestu ośmiu „Amfionów” jest tego wyraźnym dowodem. Przekłady stosuje w swej pracy inscenizator, tłumacz dawne treści przy pomocy nowych, szczególnie dla nas atrakcyjnych konwencji. Oczywiście prym w tych odmianach wiodzie groteskowa

W roku 1949 ukazała się w „Expressie Wieczornym“ sensacyjna wiadomość o wykryciu wśród lodów Antarktydy wielkiej oazy — skał wolnych od skorupy lodowej, pośrodku których odkryto... jezioro. Wiadomość ta wydawała się zbyt fantastyczna, aby mogła być prawdziwa. Dalsze badania potwierdziły jednak ten niewiarogodny fakt.

Gorące oazy wśród lodowej pustki

TAJEMNICA ORZECHOWEGO BIURKA

Cofnijmy się do roku 1946. W hamburskich schronach od roku pracowali specjalnie przeszkoleni oficerowie wywiadu amerykańskiego. Szukali dowodów istnienia na Antarktydzie gorącej oazy. Skąd wiedzieli o jej istnieniu? Oto w roku 1942 rozeszła się w Lipsku pogłoska o rzekomym odkryciu przez niemiecką ekspedycję w bliżej niezbadanych okolicznościach gorących oaz na Biegunie Południowym. Oficer Luftwaffe, który pilny opowiadał o tym w kasyńce, zniknął na drugi dzień...

Pogłoska została zdementowana, ale dotarła już do amerykańskiego wywiadu. Po wojnie nie było ani jednego papierka Luftwaffe, którego by nie przejrzała agencja wywiadczeni w rozpoznawaniu najzawilszych szczytów. Badano dokumenty w tajnych kancelariach berlińskich, monachijskich, hamburskich.

Pewnego dnia r. 1946 na dziedziniec koszar byłego Luftwaffe w Hamburgu wjechała sfatygowana droga ciężarówka. Leżała na niej jakieś zniszczone graty. Kierujący pracami oficer wzruszył ramionami. Gdy żołnierze zestawiali na ziemię jedno z biurko — niegdyś piękny, orzechowy mebel — oficer rzucił się w ich kierunku, pochylił nad pięknie szklą blatu i — zamrugał z wrażenia. Ten i ów puknął się znacząco w czoło.

Jednak po chwili przestali się uśmiechać. Oficer kazał na

Antarktyda, olbrzymi, liczący około 15 milionów kilometrów kwadratowych kontynent, niemal pięćdziesiąt razy większy od Polski, pokryty jest lodową skorupą, dochodzącą do trzech kilometrów grubości. Uczni obliczyli, że stopnienie lodów biegunowych spowodowałoby podniesienie stanu wód w morzach i oceanach o 82,5 metra! Roczna temperatura na Antarktydzie wynosi przeciętnie minus 25 stopni Celsjusza. Nieustannie niemal padający śnieg nie roztopia się nigdy. Tworzy lodowce, które pełzną pod wpływem nacisku górnych warstw do morza, gdzie — w odległości tysięcy kilometrów od miejsca powstania — ulegają dopiero ciepłej wodzie morskiej. Nie, to niemożliwe — mówiono — aby na Antarktydzie istniała gorąca oaza! To przeczy zdrowemu rozsądkowi!

tychmiast odnieść biurko do swego gabinetu i postawił przy drzwiach i oknach wartowników.

Pod szdem biurka znajdowało się zdjęcie lotnicze łańcucha górskiego otaczającego wielką kotlinę, w której leżała — tafla jeziora. Na zboczach gór widoczne były białe nitki spienionych strumieni. Nagle ślasy były ledwo czytelne, rozmazywały je silny blask odbitego światła słonecznego. W biurku, w trzeciej szufladzie od góry (wszystko wyniuchali wściebyscy dziennikarze), znajdował się raport kapitana Luftwaffe. W zwyciężonych słowach opisywał okoliczności, w jakich dokonano odkrycia oazi, określał warunki lądowania na terenie oazy. Na ceratowej kopercie raportu był napis: „Ścisłe tajne! Do dyspozycji marszałka Goeringa!”

Zdjęcie zostało dokonane w czasie tajnych manewrów nie-

mieckiej Luftwaffe na Antarktydzie w roku 1939.

WYPRAWA BYRDA

Sensacyjne odkrycie narobiło w swoim czasie wiele wrzawy. Wystarczyło jednak kilka „urzędowych” dementi, a sprawa gorącej oazy zaczęła być traktowana jako sezonowa kaczka dziennikarska.

W roku 1948 wyruszyła na Antarktydę wyprawa admirała Byrda, słynnego amerykańskiego badacza polarnego.

Teraz już nie można było ukryć prawdy. Niechętnie, ale dość szczerze głowo poinformowano uczonych o wynikach wyprawy Byrda.

Oto sprawozdanie — w pobieżnym ujęciu: oaza, znajdująca się na terenie tzw. norweskiego terytorium Antarktydy, Ziemi Królowej Maud, nie opodal biegun geograficznego, ma powierzchnię około 500 km²; stanowi część łańcucha górskiego, całkowicie pozbawionego lodów oraz śniegu; wewnątrz łańcucha znajduje się jezioro, a kotlina ma tak wysoki stopień nasłonecznienia, że temperatura w południe dochodzi do plus 25° C! Stwierdzono, że białe nitki widoczne na zdjęciu są rzeczywiste strumienie. Poza łańcuchem górskim otaczającym kotlinę, znajdowała się niewielka przestrzeń pokryta cienką warstwą śniegu.

Wokół rozciągała się lodowa pustynia, pozbawiona najmniejszych nawet oznak życia i ciepła. Przestrzeń milionów kilometrów kwadratowych mrozi temperatura około 25° C poniżej zera — licząc średnią roku.

Wyprawa admirała Byrda potwierdziła odkrycie: jednak tajemnica gorącej oazy nie została wyjaśniona.

HIPOTEZY

Jedna grupa uczonych twierdziła, że oaza istnieje dzięki wulkanom działającym na Antarktydzie. Obalono ten pogląd: wulkany nie są czynne, no, i leżą w zupełnie innych rejonach...

Drudzy powiadali: pod warstwą lodów znajdują się wielkie złoża promieniotwórczych pierwiastków. Ich rozpad wydzielają ciepło. Rzeczywiście — na Antarktydzie znajdują się wielkie złoża uranu, jednego z najważniejszych pierwiastków promieniotwórczych. Jednak — znów w innych rejonach! Badania te przeprowadzono za pomocą liczników Geigera-Müllera, rejestrujących promieniowanie najmniejszych nawet ilości ciał promieniotwórczych. Pomyłki więc być nie mogły.

Trzecia grupa uczonych twierdziła stanowczo, że istnienie oazy można tłumaczyć silnym nasłonecznieniem skał, które jest spowodowane istnieniem nad owym obszarem Antarktydy czegoś w rodzaju lustra lub soczewki lodowej skupiającej promienie słoneczne.

Obalono i tę hipotezę: Ziemia Królowej Maud ma te same warunki meteorologiczne, co inne rejony Antarktydy.

Jaka więc jest prawda?

Uczni uważają, że na to pytanie uda się odpowiedzieć pod koniec trwającego obecnie Roku Geofizycznego, którego najistotniejszym punktem badań jest właśnie Antarktyda.

Jedną z ekspedycji radzieckich już odwiedziła oazę. Uczni radzieccy dokonali tego w czasie bardzo trudnych warunków atmosferycznych. Stwierdzili, że na terenie oazy żyją albatrosy — białe ptaki, spotykane także w innych obszarach antarktycznych. W wodzie jeziora spłoszyli małe raczki, nie spotykane w innych okolicach Antarktydy, bakterie, pierwotniaki, a także drobne wodorosty. Skały otaczające jezioro są bardzo splekane: w szczelinach skał wegetują mchy glony i inne porosty. Skład chemiczny wody został szczegółowo zbadany. Pobrano również próbki skał, mułu z dna jeziora, zbadano śniegi i lody otaczające oazę.

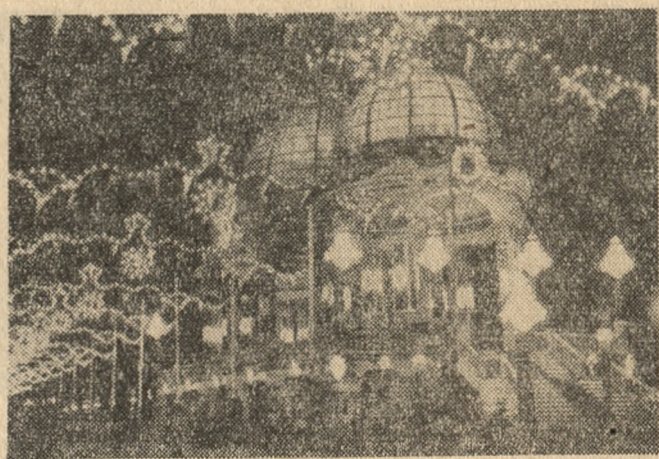
Uczni wielu krajów stwierdzili ponadto istnienie podobnych oaz w innych rejonach Ziemi Królowej Maud. Są one szczegółowo badane.

PIERWSI MIESZKAŃCY?

Istnienie oaz na Antarktydzie stwarza możliwości założenia pierwszych osad ludzkich. Do tej bowiem pory nie zamieszkuje tam, na stałe ani jeden człowiek.

Czy warto się trudzić? Otóż jak najbardziej; na Antarktydzie wykryto — oprócz wspomnianych złóż pierwiastków promieniotwórczych — olbrzymie pokłady węgla, ropy naftowej, rud żelaza i metali kolorowych, złota i innych metali szlachetnych, cenne żyły kwarcu, azbestu i dziesiątków innych minerałów. Zagospodarowanie Antarktydy w najbliższych dziesiętnościach lat stanie się z pewnością faktem.

Andrzej CZARSKI



Pawiljon Targów w Walencji, w czasie nocnej iluminacji.

W cieniu Alpuhary i w słońcu Barcelony

(Dokończenie ze str. 1)

Kże więc mam wygład ich streścić w kilku słowach? Przede wszystkim — żywa zieleność i bujność, kontrastująca z ogólnym wyschnięciem terenów sąsiadujących. Pełno tu wodotrysków, źródłek, potoków. Nigdzie jednak woda nie tryska pod ciśnieniem wywołanym sztucznie, lecz jedynie przez spadki grawitacyjne, tak przemyślane przez Arabów, że tworzyły wodotryski określonej wysokości.

Wieczorem jedziemy na Sarcos Monte, by zobaczyć Cuevas de Gitanas — osiedle cygańskie. Pełno tu Amerykanów, którzy za cenę 50 do 300 pesetów podziwiają tańce cygańskie, umizgując się do tanecerek (oczywiście bez skutku, bo prawo cygańskie na nie zadołowanym błyskiem w oczach swoich żon. Oprowdzał nas 8-letni chłopiec, gładko wiciadający trzema językami, strącając lokal z tańcami i wy pytując natęczywie jakiej na rodowości jesteśmy. Nie mógł tego odgadnąć, mimo iż kilkanaście narodowości umie podobno rozpoznawać po wymiarze kilku słów.

„Z gór Alpuhary nim się wywleki reszta ich wojska poległa” — wspominaliśmy Mickiewicza, gdy dosłownie przez cały dzień wywlekiwał się nasz pociąg z Alpuhary. Teraz wzdłuż drogi często spotykamy krzaki granatników, z czerwonymi, kulistymi owocami. Świetny to surowiec do produkcji syropów owocowych. Mijamy wsie, gdzie ludzie mieszkają w wapiennych skałkach kształtu stalagmitów, tworzących zespoły z kilkunastu jednostek. Każda taka skałka, wielkości willi, zamieszkiwana jest przez jedną rodzinę. W żyznym rejonie Murcji ciekawość naszą budzi Elche (czyt. Elce), które nazywają oazą afrykańską z racji kilku dziesiętności tysięcy palm, zaszadzonych wzdłuż kanału.

Do Walencji jedziemy poprzez tereny o glebie rdzawo, czerwonej. Podobnie jak w południowej Andaluzji widać obrzeżenia pół trzciną cukrową. Najbardziej jednak frapujące są młode plantacje pomarańczy, cytryn i mandarynek. Ogółem rośnie tu 20 milionów owocujących drzew cytrusowych, dających plon 12 milionów kwintali. Poza tym pomidory, figi, granatniki, ryż, soczewica, bób, winogrona, nie co sadów jabłoniowych, tracących już liście i wyglądających szpetnie. Możliwe są tu 4 zbiory do roku, jeśli uprawia się po sobie konopie, pszenicę, fasolę i kukurydzę. Rejon ten jest podobno jedynie porównywalny z deltą Nilu i brzegami Gangesu, gdy chodzi o żyzność i gęstość zaludnienia (do tysiąca mieszkańców na 1 km kwadratu).

W Walencji zwiedzamy targ handlowy Lonja (czyt. lonha), gdzie znajdował się pałac Cyda i katedrę, której donośny dzwon reguluje godziny nawadniania okolicy. Bramy i piękne planty z ogromnymi na 6 pięter drzewami lauru hiszpańskiego. Rano zwiedzamy ogród botaniczny, przez nikogo prawie nie odwiedzany, bo właściwie wszystko co tam się znajduje można również spotkać na plantach miej-

skich. Stróż ofiarowuje nam na pamiątkę sadzonki roślin egzotycznych.

Poprzez Tarragonę dobijamy wreszcie do stolicy Katalonii — Barcelony. To największe miasto nad Morzem Śródziemnym jest prawie równe Madrytowi, ale posiada najlepsze metro w Europie zachodniej. Wielkie ulice i aleje, (np. siedmiokilometrowa szeroka, Avenida del Generalissimo Franco, lecz bynajmniej nie przez Caudilla wybudowana) przecinają się z reguły pod kątem prostym, co daje piękny efekt gdy się patrzy z góry. Mekką dla amatorów pięknych widoków jest El Tibidabo,

Europejską renomę posiada Plac Kataluński Plaza del Cataluna ze swymi reklamami neonowymi i wodotryskami różnobarwnie oświetlonymi. Możliwe są 273 różnobarwne niepowtarzające się kombinacje oświetlenia, które włącza automat. Słynę z tego Barcelo na na cały świat.

Nad brzeg morza prowadzi promenada; na jej końcu znajduje się Muzeum Morskie i pomnik Kolumba. W basenie — naturalnej wielkości model statku Kolumba, Santa Maria.

Barcelona ma wiele dzieł sztuki, muzeów, kościołów. Wspomnę tylko o dziełach architekta de Gaudi, fanatyka stylu indyjskiego. Zbudował on właśnie w tym stylu kościół św. Rodziny — Sacrada Familia oraz szereg domów mieszkalnych dając im faliste ślasy, a balkony ozdobiające paszczami diabelskimi, uszami słoni itp. Na Starym Mieście napotkaliśmy maskaradę — pochod królów wysokości 2 pięter. Był to konkurs na artystyczne odtworzenie obyczajów dworskich w stylu epoki. Udało się nam bowiem zdążyć jeszcze na Fiesta Natio nal, święto narodowe, a właściwie religijno-ludowe Matki Boskiej Zbiorów — Nuestra Señora de las Mercedes. Oficjalnie były 3 dni wolnego i nie-dziele. Ludzie szaleją jednak znacznie dłużej w tańcach ulicznych i wszelkiego rodzaju imprezach. Ciekawym widokiem były Międzynarodowe Igrzyska Bycze. Chcieliśmy przynajmniej raz zobaczyć o-sławioną corridę. Położono wtedy 16 byków przed oczami 30 tysięcy widzów. Na cenę biletu wpływa decydująco stopień nasłonecznienia. Kupiłem bilet solar, a nie sombra, dla oszczędności pieniędzy i dla polskiego szacunku dla każdego promienia słonecznego. Jednakże, gdyśmy o 17,15 weszli na arenę, musiałem za raz przedrzeć na połowę piękną mapę Barcelony i przykryć nią głowę, ażeby przypadkiem nie paść trupem od uderu słonecznego wcześniej, aniżeli byk na placu od ciosu toreadora. Sam przebieg walk opisywano wielokrotnie, a więc nie będę się nad nim za trzymywał.

Z Barcelony droga nasza wiedzie już wprost do granicy francuskiej. Ostatnim tunelem przejeżdżamy pod skałą Cereber, która — jak mitologiczny pies — waruje na granicy, maczając łapy w Morzu Śródziemnym. Przesiadka na normalne tory i — żegnaj, Hiszpanio!

K. BOGDAŃSKI

*) Nawet w miejscowościach Francji, np. w miasteczku Bayonne, flesy na ulicach z tej okazji trwają do tygodnia.

Miasto na dnie morza

WENECA — miasto zakochanych, gondoli i góbeli, wiosną tego roku będzie siedzibą ekspedycji naukowców, którzy poszukiwać będą zaginionego miasta Metamauco.

Tajemnicę tego starego miasta odkryli rybacy. Zarzucali oni w bezwietrzne noce swe sieci nie na srebrne rybki, lecz na... wazy, ozdoby z brązu, statuetki i inne antyki. Archeologów ubiegali antykwariusze.

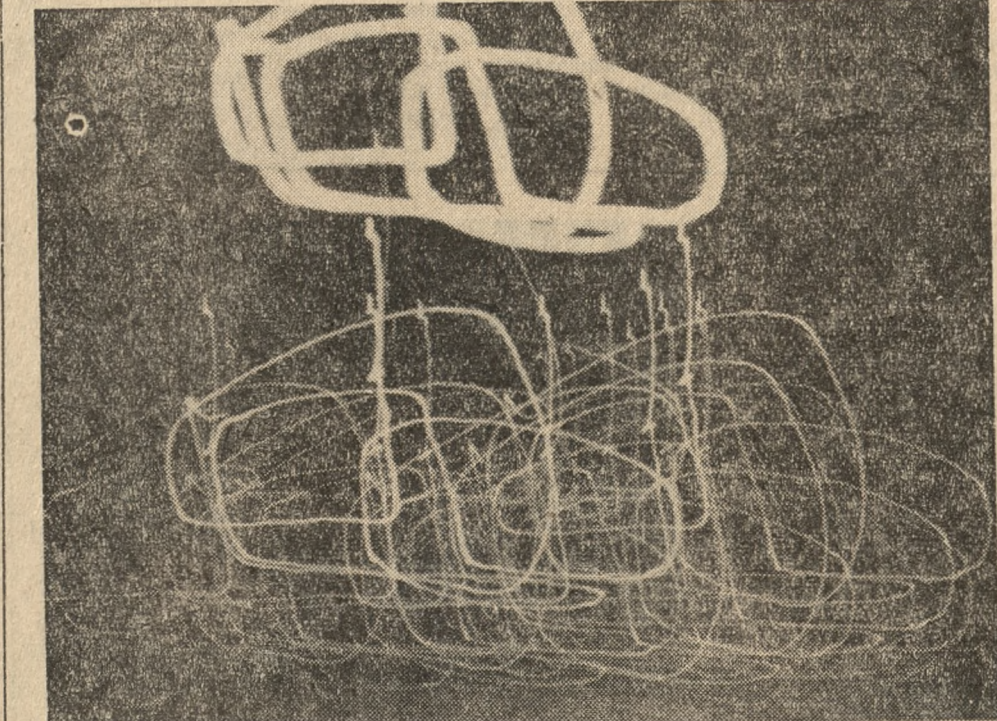
Dokumenty z weneckich archiwów państwowych i bibliotek zdradzają, że Wenecja powstała w godzinie śmierci miasta Metamauco, które pogrzyżło się w falach morskich. Na jego dnie legły mury, wieże pałaców i kościołów.

W kronice Giovanni Diacono, duchownego Metamauco, odczytać można, że miasto to posiadało szerokie place, wspaniałą bazylikę i bogate pałace. Okalały je mury z obronnymi wieżami, chroniące kwitnący gród przed najazdami. Podobno jeszcze 400 lat temu przy spokojnym morzu można było na jego dnie dostrzec ruiny. Już wówczas rybacy łowili drobne sprzęty i antyczne cacka.

Czego spodziewają się nurkowie, zakłócający 900-letni podwodny sen Metamauco?

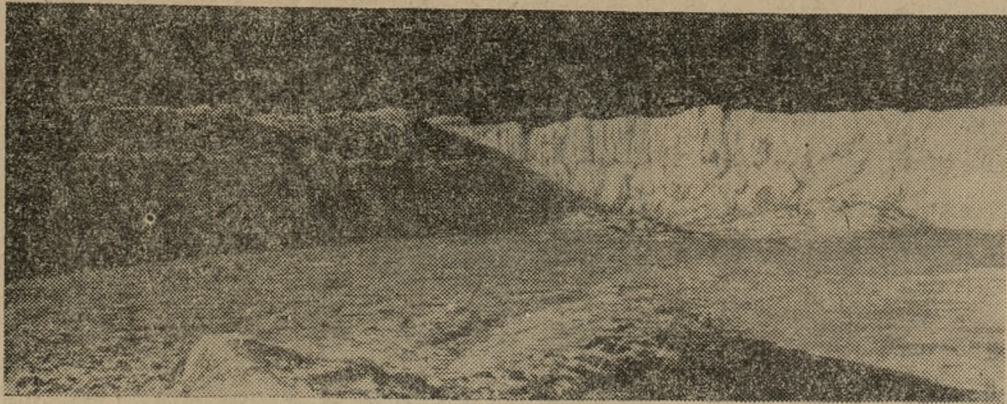
Ogniś spłatała się w nim świetność cesarstwa rzymskiego z bujnym rozwojem chrześcijaństwa. Do rybackich sieci wpadały posągi Merkurego i figury Madonny. Historia Metamauco pamięta Atlidę, którego hordy zawiadnęły weneccyjskim wybrzeżem. W 452 roku uciekający przed nimi mieszkańcy Padwy znaleźli wśród bagnistych lagun schronienie, pozostawiając wiele lat w umocnionym grodzie. Wracając do niego ponownie pod naporem Langobardów. W kościołach zatopionych miasta były groby dostojników kościelnych z Padwy, sarkofagi kupałów, nagrobki dożów, nowej klasy społecznej powstałej na gruzach rzymskiego państwa.

Fale morskie dawno już zmyły krew z murów Metamauco, w którym często szalały wojny domowe. W wieżach zabarykadowały się zwaśnione rodziny, opowiadając się raz za Grecją, drugim razem za Langobardami, czy Frankami. Wieczne niesnaski skłóciły mieszkańców; toteż dożowie, którzy od 742 roku do 810 r. panowali, mieli nielekki żywot. Kilku zostało zamordowanych, inni poszli na wygnanie. Na początku IX wieku doża Obelerio wezwał Franków prze-



GRA ŚWIATEŁ

Fot.: H. Dera



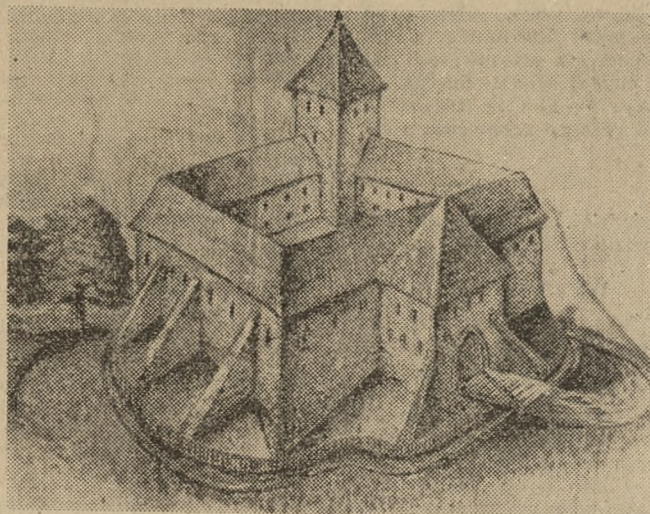
Aktualna moda paryska dla pań, wybierających się w góry.

Fot. — CAF

A ni „Pionier” — amerykańska rakietka księżycowa, ani „Lun-
nik” — radziecki pocisk kosmiczny
nie przekazały nam jeszcze obra-
zu Księżyca za pomocą nadajni-
ków telewizyjnych, które uniosły
z sobą w przestrzeń kosmiczną.
A jednak człowiek zna jedną
stronę Księżyca doskonale! Za
pomocą wielkich teleskopów ob-
serwuje naszego satelitę od wie-
lu set lat, a od kilkadziesiąt —
fotografuje. Oto autentyczne zdję-
cie niewielkiego krateru księży-
cowego, o średnicy około 30 km,
wykonane oczywiście z Ziemi.
Dla porównania: największy kra-
ter, nazwany Struve Otto ma
średnicy 242 km, a krater Koper-
nika — 50 km. Wał nagich skał,
z widocznymi rysami, to góry
otaczające krater. Mają one praw-
dopodobnie około 3000—4000 me-
trów wysokości. Czy w bież. roku
ujrzymy audycję telewizyjną z
Księżyca, bezpośrednio na ekrana-
ch naszych telewizorów lub na
płótnach ekranów kinowych?
Wielu uczonych jest o tym prze-
konanych. A więc — patrzmy na
zdjęcie, aby móc dokonać porów-
nań!

(A. K.)

ZAMIAST



O DIABLE WENECKIM historia z dreszczykiem

Posłuchajcie: co noc po gru-
zach zamku weneckiego
chodzi Diabeł. Jak pies (na u-
wiezi) pilnuje skarbów, które
zrabowane, złożył w podzie-
miach. Nie radzę człowiekowi
bojaźliwego serca zatrzymy-
wać się tu w ciemnościach!
Każdy szelest urosnie do szep-
tów potępieńca, każdy cień
wydać się może duchem, któ-
ry nie zaznaje spokoju od lat
500, kiedy nad zamkiem pie-
kielna burza szalała.

Wspaniale urządzono Miko-
łaja Nałęczę (r. 1350 — 1400),
prawda? Nie dość że dał ko-
ściółowi wiele włości, część
dochodów z młyna na Gąsaw-

(nie tej włoskiej, lecz w wio-
sce niedaleko Żnina) że
jako sędzia kaliski był zaw-
sze sprawiedliwy, że pilnie
sprawował „roki”, że łapówek
nie brał, że pościł — to jeszcze
po śmierci musi pokutować.
Grzechem jego było, iż w
wojnie domowej dwóch rodów
ośmielił się napadnąć dobra ar-
cybiskupa poznańskiego Grzy-
mality Dobrogosta. Ze arcy-
biskup nie nadstawił drugie-
go policzka, dowodzą napady
ściółowi wiele włości, część
jego wojsk na włości Mikołaja.
To one spaliły Chomiążę,



ce klasztorowi w Trzemesznie. Wenecję, Grzmiącą, Dąbrowę,
wieś Markowice pod Gnieznem — klasztorowi w Łądzie,
także szturmowały zamek we-
necki. Nie miał więc Mikołaj
swojej siedziby w Wenecji prawa odwetu? Odnosi się

wrażenie, że arcybiskup po-
znański chciał zniszczyć Mi-
kołaja po to, by zawładnąć je-
go dobrami, które przecież pół
kolem otaczały klucz żniński.
Nie zdzierzył jednak Miko-
łaj. Śmierć go za łeb wzięła,
a księża duszę jego zamienili
w Diabła. Arcybiskup i tak
dobra weneckie dostał. Kupił
je (na pewno za grosze) od
wdowy Doroty. Następny ar-
cybiskup Sianawski kazał zamek
po Diablu zburzyć, mate-
riał zabrać do Żnina na pobu-
dowanie siedziby godnej do-
stojnika kościelnego. (jp)

Na rysunku u góry: tak
mniej więcej wyglądał wybu-
dowany w r. 1380 zamek
„Weneckiego Diabła”. Dziś po
zaczynku zostały gruz i le-
genda (zdjęcie obok).

Fot. K. Przychodzki

„Biedni, ale pięk-
ni” — są bohate-
rowie nowego
włoskiego filmu
o młodzi, re-
żyserii Dino Risi.
Sporą część ich
życia wypełnia
oczywiście mi-
łość, czemu zre-
szą nie należy
się dziwić, skoro
młodzienci spo-
tykają na swej
drodze życia
dziewczyny tak
urocze jak... Ma-
risa Alasio. Po
godny, pełen u-
roku film ogląda
się tym przyjem-
nie, na tle archi-
tektury Wieczne-
go Miasta.

Obok — M. Alasio



„Z Koźła do Szczecina — ze Szczecina do Koźła dzień w dzień
płyną barki. Ciągłe te same równinne brzegi, małe miastecz-
ka, porty. Na barkach płyną całe rodziny. Na nich rodzą się
i umierają. Barka i rzeka są im rodzinnym domem i mia-
stem. Tę miłość do swego zawodu i środowiska — tak dziś
niecodzienną, chciałem Wam pokazać, robiąc ten film o mo-
notonnym życiu odrzańskich wodniaków”. — Tak pisze o
swoim filmie pt. „Dwoje z wielkiej rzeki” reżyser Konrad
Nalecki. Szkoda, że owa monotonia życia flisaków nieco
zbyt wyraźnie odbiła się na filmie. Piękne są natomiast kraj-
obrazy utrwalone na zdjęciach.

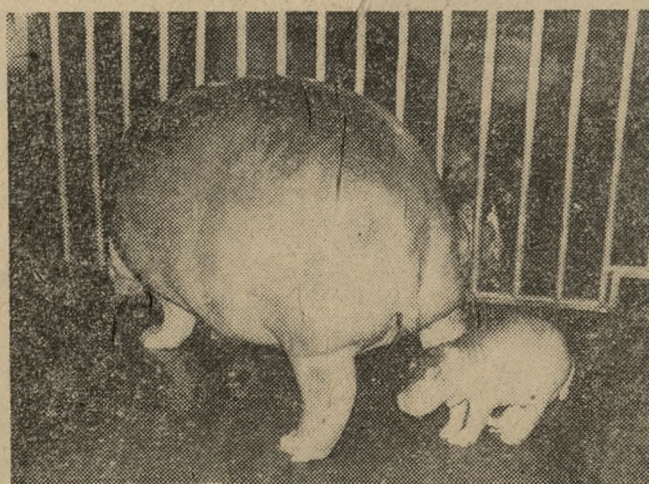


Tygrys Atu z
cyrku Krone
skalczył sobie
łapę. Jak się
przy tym oka-
zało tygrysy nie
są zbyt cierpli-
wymi pacjen-
tami.

Czuły pocałunek w budapeszteńskim Zoo.



MIEDZY
NAMI
ZWIERZETAMI



Maleńki czterodniowy hipopotam w Zoo norymberskim
wydaje się jeszcze mniejszy przy swojej mamie.

Fot. — CAF



Bez słów